



## Bogusław Nizieński

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0838**  
Data urodzenia: **02.03.1928 r.**  
Data nagrania: **14.10.2014 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudół**  
Czas nagrania: **część I: 54 min, część II: 49 min, część III: 59 min,**  
Format nagrania: **video** **część IV: 60min**  
Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Tomasz Sudół:** Panie Bogusławie, chciałem pana zapytać, jak wyglądał okupacyjny Jarosław?

**Bogusław Nizieński:** Proszę pana, ja byłem w okupacyjnym Jarosławiu tak od października 1939 roku do maja 1940 roku i potem po powrocie, po przyjeździe z Warszawy, od jesieni 1941 roku do mojej matury w 1946 roku. Jak wyglądał Jarosław? Było przede wszystkim dużo Ukraińców. I tam było gimnazjum ukraińskie. I tam się można było przekonać, jak głęboko Ukraińcy weszli w ten niemiecki teren. Tam pan miał co chwilę: „Sława Ukraini!”, „Sława Ukraini!”. Człowieka aż tak to porywało. Oni byli oddani Niemcom, ci jarosławscy i mnie się zdaje, że i w ogóle małopolscy Ukraińcy, bo ci za Zbruczem są inni. Ja byłem też i u mojego wuja we Lwowie, to widziałem tę policję ukraińską. Widziałem też i tę Hałyczynę, SS Hałyczyna. I z Jarosławia Ukraińcy byli zwerbowani do tej... 14. to była chyba, 14. Dywizja SS Galizien albo SS Hałyczyna. Więc wie pan, to już swoje robiło wrażenie. Oni się czuli bardzo pewni siebie. Ten Jarosław miał wprawdzie policję granatową, ale to była taka dosyć niemrawa policja. Przy czym w tej policji byli także osadzeni nasi informatorzy, bo ja byłem w tej grupie kapitana Juliana, to tam sprawami policji zajmował się podoficer policji, Krzyżanowski, więc on też był granatowym policjantem, ale on był głęboko zakonspirowany w strukturze akowskiej. Ludzie byli oczywiście wstrząśnięci tą okupacją. Chcieli mieć najwięcej wiedzy o tym, co się dzieje w kraju, a tam było tylko można pozyskać oficjalnie z tego „Gońca Krakowskiego”, szmatławca. Wie pan, tam też wrażenie bardzo przygnębiające robił obóz jeniecki w Pełkiniach. Oni ciągnęli tych jeńców dzień i noc. Ja mieszkałem z mamą w pokoju z balkonem, przystającym do ulicy Kraszewskiego. Ja wiem, że oni strzelali do jeńców, Niemcy, do tych sowieckich jeńców. Widziałem również sowiecki pochód bagnietami do marszu. Strzelali i marli masowo jeńcy w Pełkiniach. Masowo. Był taki masarz, który dostarczał mięso do 3.

PPLeg-u, który potem w czasie tej okupacji woził tam do Pełkiń odpady dla tych jeńców. Oni masowo marli. Z tym, że Sowieci się tym nie przejmowali. Sowieci mieli zdecydowanie negatywny stosunek do jeńców swoich. Tak samo, jak i do rannych, bo ja widziałem transporty jeńców. Znaczący, nie jeńców, tylko rannych czerwonarmiejców. Obraz nędzy i rozpacz. Tam się człowiek naprawdę nie liczył. Gestapo jarosławskie było wyjątkowo brutalne i miało dobre rozeznanie, dlatego że, proszę pana, jednym z najbardziej aktywnych funkcjonariuszy Gestapo był Franciszek Schmidt, Franz Schmidt. Pracownik fabryki wstążek Salika z ulicy Poniatowskiego, który ostatnie wakacje letnie spędził w Niemczech. I on natychmiast po wejściu Niemców, on uruchamiał Gestapo. On był wyjątkowo... wyjątkowo zbrodniczy. On był żonaty, ożeniony był z Polką. Jej brat był Polakiem, który bardzo cierpiał z tego tytułu, że jego szwagier to Schmidt. Ale tak to było. I drugim takim był Klarenbach. Klarenbach z kolei był podoficerem w 38. Pułku Strzelców Lwowskich w Przemyślu i został skierowany do służby w Gestapo w Jarosławiu. Oni mieli dobrze rozpoznany teren i mieli niestety także swoich wywiadowców spośród Polaków, których w razie zdekonspirowania i to pewnego, likwidowano przez strzelanie, bo innego wyjścia nie było. Po wydaniu wyroku przez sąd podziemny Rzeczypospolitej Polskiej, ja zresztą widziałem takie akta, bo pisząc na maszynie, pisałem wiele rzeczy. Kapitan Szczepański miał do mnie pełne zaufanie i wiedział, że może mnie tutaj dopuścić do pisania rozkazów na maszynie, bo byłem po prostu nauczony pisać na maszynie, więc wiedziałem dużo rzeczy o tych, którzy się wysługiwali Niemcom i którzy byli likwidowani przez komórkę akowską w Jarosławiu. Życie nie było łatwe pod każdym względem. Zaczęło się trochę inaczej, kiedy to Gestapo uciekło z Jarosławia. No ale to było kilka dni tylko. Oni byli pierwszymi, którzy uciekali i nawet nasi ludzie wdarli się do siedziby Gestapo przy ulicy Słowackiego i tam wydobyli jeszcze niezniszczone dokumenty. Ja nawet widziałem, proszę pana, donos Ukraińca dotyczący podporucznika rezerwy nazwiskiem Wąsacz, którego znałem o tyle, że on był piłkarzem JKS-u Jarosław. Więc widziałem taki donos, którego Niemcy nie zdążyli spalić. Ale w sumie to życie było ciężkie, bo wie pan, co chwilę były jakieś jednak aresztowania. Wiem o jednym, które można było ocalić, aresztowanie masowe. To był, proszę pana... to było lato 1943 roku. Był kwaterant na kwaterze u pani, która była żoną podpułkownika... już rezerwy, który był na Węgrzech w tym czasie i u niej kwatrował oficer, który przekazał jej wiadomość, że w dzielnicy Kolonia Oficerska w Jarosławiu będzie akcja Gestapo i że żołnierze Wehrmachtu mają być użyci jako ci, którzy zamkną koło wokół tej Kolonii. I myśmy po uzyskaniu tej wiadomości, z mamą, jeszcze nakłonili Rysia... W tym momencie zaatakowało mnie. Gantera. I on na rowerze pojechał na Kolonię Oficerską do zaprzyjaźnionych ludzi i ostrzegł, że Gestapo będzie w nocy przeprowadzało akcję aresztowań. Nie wszyscy dali temu wiarę. Rysiek wracał, Ganter i widzieliśmy także, jak go zatrzymał patrol Wehrmachtu na ulicy Kraszewskiego. A on mieszkał przy Kościuszki. I też się musiał tłumaczyć, co on o tej porze robi. To już była mocno spóźniona policyjna godzina. I tu można było uratować wielu ludzi, którzy niestety nie byli przekonani, że taka wiadomość mogła być przechwycona przez podziemie. A to było autentycznie, oficer niemiecki, nie wiem, dlaczego on, czym się kierował, ale on przekazał tę informację. I niektórzy ludzie na Kolonii Oficerskiej ocalili od aresztowania. Ale bardzo dużo oni stamtąd zgarnęli do obozu koncentracyjnego. Zresztą Gestapo w Jarosławiu to nie bawiło się w jakieś konwenanse, tylko jak prowadzili na rozwalenie, to prowadzili tak, że wszyscy wiedzieli, dokąd zmierzają, bo tam był ten... to było miejsce straceń, gdzie dzisiaj jest klasztor tych sióstr bernardynek. Pamiętam, proszę pana, jak był prowadzony człowiek, który był w armii austriackiej oficerem, który nawet przygotował paczkę dla mojego ojca do obozu jenieckiego i ona poszła. Okazało się, jego żona była Wiedenką, że ktoś doszedł do tego, że on jest Żydem. I on został aresztowany. Ja miałem, proszę pana, takie niemiłe spotkanie, kiedy go prowadzili do rozwalenia. I to oni robili, żeby zastraszyć jak najbardziej ludzi.

**Tomasz Sudół:** A jak się nazywał ten oficer?

**Bogusław Nizieński:** Znaczy, to był potem kupiec w Jarosławiu, przy ulicy Grodzkiej miał, już ten dom nie istnieje, bo tam jest robiona ulica, on tam miał obok sklepu Kobów, miał swój sklep i o tym, że on był oficerem austriackim, ja nie wiedziałem. Tylko to potem się okazało. Ale szedł, wie pan, dla mnie, ja go widzę jak dzisiaj, wysoki, postawny, miał takie zielone skarpety, ręce do tyłu, ale żadnego strachu, nawet oni go nie skuli. Szło za nim dwóch gestapowców. Wiedziałem, dokąd idzie, bo to ja mieszkałem przy Kraszewskiego, z Kraszewskiego skręt był albo w Polną, albo w Zieloną do Anna Kaserne z czasów jeszcze zaboru austriackiego. I tam były te Koszary Świętej Anny, Anna Kaserne. Tam dokonywano rozstrzeliwań. I on już nigdy nie wrócił. Jak go tam prowadzili, to wiadomo było, że tylko na rozwalenie.

**Tomasz Sudół:** Te egzekucje się w ogrodach odbywały, prawda?

**Bogusław Nizieński:** Proszę pana, po tym... Był pan tam w Jarosławiu w tym klasztorze?

**Tomasz Sudół:** Mhm.

**Bogusław Nizieński:** Jak pan wchodzi przez bramę, to na końcu jest mur. Pod tym murem było miejsce straceń. Tam rozstrzeliwano zbiorowo i indywidualnie. Jeszcze musieli ci ludzie kopać sobie własny grób. Tak przynajmniej mówią ci, którzy ze strychów swoich domów oglądali te egzekucje. Ja widziałem tylko, znaczy, nie sam moment likwidacji, tylko widziałem, kiedy gestapowcy na furze wieźli dwóch Żydów. Jeden to był stary człowiek, drugi był młody. Ja z moim kolegą szliśmy w pobliżu tej fury chłopskiej, którą wieziono w kierunku na Kruhel. Jest taka wieś w Jarosławiu. I on się wspiął, ten mój kolega szkolny, wspiął się na drzewo i informował mnie, co się dzieje. On powiedział mi, że wyrzucili ich, wyciągnęli za nogi z wozu na ziemię, chłopu kazali zawrócić i zastrzelili z pistoletów tych dwóch ludzi. A potem mówił mi ten kolega, że sołtys jakiś dostał polecenie zakopania tych zwłok. Wie pan, okupacja się dała odczuć w Jarosławiu. Niemcy byli bezwzględni. Ich akcje, te aresztowania. Przecież ilu Jarosławiaków siedziało w obozie. Od samego początku, pierwszy transport, który poszedł z Tarnowa to już miał Jarosławiaków. I niektórzy z nich przeżyli. Niekórzy nie. Tak jak to zresztą bywało w obozach koncentracyjnych. Od tego łutu szczęścia.

**Tomasz Sudół:** A pamięta pan getto w Jarosławiu?

**Bogusław Nizieński:** Getto? Ja nie pamiętam getta. Wiem tylko, że, proszę pana, ostatni transport, jaki szedł z Jarosławia w kierunku na Kruhel, to był formowany przy dawnej... tej... synagodze. Tam widziałem, bo kolega, jeden z kolegów moich mieszkał we własnym domu przy Lubelskiej i myśmy z jego ogrodu widzieli formowanie tej grupy. Ale czy tam było getto? Proszę pana, może było w tym czasie, kiedy mnie w Jarosławiu nie było. To znaczy między majem 1940 roku, a październikiem 1941 roku. Bo ja nie kojarzę. Wiem, że tam był podejrzewany o donosicielstwo, także tam mieszkał były jeńiec, Żyd, który chodził w mundurze polskim. Był tapicerem i o nim mówiono, że on współpracuje z Gestapo. On mieszkał w rejonie synagogi. Więc jeżeli by tam było, proszę... oni się

ukrywali też w tej dzielnicy przy magistracie. Pamiętam, że po tej stronie, gdzie teraz jest siedziba Stowarzyszenia Miłośników Jarosławia, jakieś rodziny żydowskie ukrywały się w piwnicach, ale getta ja nie kojarzę. Getta nie kojarzę. Wiem, że się ukrywali u Aryjczyków Żydzi. Wiedziałem nawet, kto to był. Ale getta jako takiego to tylko widziałem tu w Warszawie. Natomiast być może, że to getto widziałem także, proszę pana, z obozu w Pełkiniach prowadzonych Żydów prawdopodobnie do Bełżca. Pamiętam, że to była potężna masa ludzi, których prowadzono od strony parku ulicą Kraszewskiego na stację kolejową na rampy. Z tego, co mówiono, to mieli oni zostać przewiezieni do Bełżca, ale ja tego nie mogę potwierdzić. Widziałem te masy tych ludzi. To był chyba 1942 rok. No pewne rzeczy mi się mogą mylić.

**Tomasz Sudół:** A przez rok przebywał pan w Warszawie, prawda?

**Bogusław Nizieński:** Ponad rok.

**Tomasz Sudół:** Ponad rok.

**Bogusław Nizieński:** Ponad półtora roku.

**Tomasz Sudół:** I jak to, jakby pan porównał właśnie tę okupację w Jarosławiu z okupacją w Warszawie?

**Bogusław Nizieński:** Proszę pana, to są dwa różne światy. Dlatego że Warszawa ciągle była jeszcze na fali, jeszcze czuła się antyniemiecka. Nas jest tylu tutaj. A ten Jarosław, on miał 22 tysiące chyba mieszkańców przed wojną. To się mocno przeredziło. Poza tym masa Ukraińców nasza, dlatego że było to gimnazjum ukraińskie, więc tu się poprzehosili Ukraińcy ze swoimi dziećmi. Była duża grupa folksdojczy, tych z tej swołoczy, która przejęła się niemiecką narodowością i mnie się wydaje, że oczywiście fizycznie Warszawa poniosła ogromne straty, ale atmosfera była korzystniejsza dla Warszawy. Tak ja to widzę oczyma chłopaka, bo wtedy ja miałem, proszę pana, jak przyjechałem do Warszawy, 12, 13... dochodziłem 14. roku życia. I tak mnie się to wydaje, że też inne było to życie tego małego miasta, które było skazane na tę władzę niemiecką, na tę bezczelność niemiecką, jakkolwiek tu w Warszawie też widziałem, tu, na Marszałkowskiej, jak oficer niemiecki rąbnął w twarz przechodnia. Nie wiem, dlaczego, jaka przyczyna. W Jarosławiu to się zdarzało. Nawet był taki starosta Niemiec, który też urządził sobie taką zabawę. Na ulicy Kraszewskiego przy wylocie ulicy Kilińskiego. Ale ten Jarosław był mały. Nie był silny. Nie miał możliwości odwetu. Bo wie pan, w razie odwetu to represje niemieckie spadały na to nieszczęsne miasto. No i dali się we znaki Ukraińcy. Dali się we znaki.

**Tomasz Sudół:** A jakie organizacje konspiracyjne były na terenie Jarosławia?

**Bogusław Nizieński:** Proszę pana, na pewno od samego początku, kiedy nie było jeszcze Armii Krajowej, bo ta zaistniała dopiero w lutym 1942 roku, było, bo był już w tym kapitan Koba, to znaczy... Mówiliśmy przed chwilą. Służba Zwycięstwu Polski. To było na pewno. Była, proszę pana, Narodowa Organizacja Wojskowa. Ponieważ członkiem tej organizacji w stopniu podchorążego był człowiek nazwiskiem Gustaw Krupa, pseudonim „Blok”, który był moim

korepetytorem, bo ja cały czas tu, w Warszawie, zrobiłem pierwszą gimnazjalną i robiłem te klasy drugą, trzecią, czwartą w czasie okupacji w Jarosławiu, korzystając z korepetytorów i byłych nauczycieli gimnazjalnych. Więc był jednym z nich Gustaw Krupa, który już niestety nie żyje, więc na 100% była Narodowa Organizacja Wojskowa. Tam był chyba szefem tego Mirecki. I o innych to ja nie potrafię więcej powiedzieć.

**Tomasz Sudół:** Mirecki Kazimierz?

**Bogusław Nizieński:** To było ich trzech, proszę pana. To była rodzina. Nawet ich siostra jeszcze żyje w Stanach Zjednoczonych. Loryś. Loryś. Ona ma według mnie co najmniej 94 lata. Ona tutaj była. Ja z nią rozmawiałem wtedy, kiedy tu była uroczystość Żołnierzy Wyklętych. Świetnie psychicznie, intelektualnie nietknięta. A jeśli chodzi o Mireckiego, to Mirecki już nie żyje, ale Mireccy byli bardzo skrajni. Ja miałem pretensje, bo on mi nawet dawał potem te dawne pisma NOW czy Stronnictwa Narodowego. One mnie nie bardzo się podobały. Ale na pewno ta struktura istniała. To byli Mireccy. To był, proszę pana, Sałabun, profesor gimnazjalny.

**Tomasz Sudół:** Józef Sałabun?

**Bogusław Nizieński:** Tak jest. Józef Sałabun. To jest właśnie ta osoba, która odsłoniła mojego ojca przed bezpieką. On poszedł na ujawnienie, a ujawniając się, musiał ujawnić wszystkich, żeby skorzystać z amnestii. I on skorzystał. On był nawet świadkiem w procesie mojego ojca. Ja z nim już nigdy potem się nie spotkałem, mimo że w Wiśle on przebywał na jakimś urlopie. Ja go tam widziałem, on mnie widział. On był moim przecież nauczycielem w gimnazjum. Ale on popełnił tę nieprawość, że on ujawnił się i ujawnił wszystkich. On był, proszę pana, w konspiracji NOW i Stronnictwa Narodowego. Niezależnie od Mireckich, którzy byli tam chyba najmocniejsi. No i „Blok”, czyli Gustaw Krupa, który był podchorążym. Nawet jak nam udało się, nam mówię, to znaczy mnie i towarzyszącemu mnie łącznikowi, wykraść z płonącego gimnazjum amunicję, granaty, to trafiliśmy na niego. I mówię do niego: „Panie Gustawie, niech nas pan tu ochroni, bo... ciągniemy amunicję, i granaty, a bronii nie mamy żadnej”. On wyciągnął wtedy pistolet i nas podprowadził pod takie miejsce, gdzie mogliśmy wrócić potem do sztabu tak zwanej Górki. Czy to było na... przy zapasie młodych koni w kierunku na Przemyśl. Tam była kwatera Obwodu AK Jarosław.

**Tomasz Sudół:** A jeśli chodzi o to tajne nauczanie w Jarosławiu, to gdzie ono się odbywało?

**Bogusław Nizieński:** Proszę pana, to były lekcje, które prowadzili korepetytorzy, tak jak na przykład pani Danuta Onult, która była studentką chyba trzeciego roku na uniwersytecie. Już dziś nie pamiętam, gdzie ona studiowała. Czy ona jeszcze żyje? Parę lat temu żyła w Poznaniu, bo ja byłem na uroczystościach doktora Beliny w Jarosławiu i ona wtedy tam napisała do jarosławskiego biuletynu artykuł na temat doktora Beliny. Ja znałem doktora, bo on mieszkał w tym samym domu, gdzie mieszkałem z mamą. On i jego dzieci, których niestety z tej piątki już podobno trójka nie żyje. To byli korepetytorzy i byli, proszę pana, nauczyciele nasi gimnazjalni. Ja miałem profesora... Tadeusz Kuczkiewicz. To też nieżyjący. Ktoś jeszcze ze mną, nie pamiętam już, kto był... A egzaminy odbywały się przed komisją, której przewodzili nauczyciele z kuratorium późniejszego rzeszowskiego. To były egzaminy, odbywały się w różnych miejscach. Na przykład w klasztorze ojców reformatów. Na przykład w szkole budowlanej. Mnie

zamknęli i temat dostałem, byłem zamknięty, żeby nikt nie wszedł i nie zadumał, kto to jest w ogóle. Na osiedlu Kolonii Oficerskiej, nie pamiętam już, u kogo to było. Więc to były egzaminy, gdzie zdawało się wszystkie przedmioty, które się nauczało w ciągu całego roku szkolnego. Przynajmniej tak było w odniesieniu do mnie. Bo ja pierwszą klasę gimnazjalną zdawałem tu, u Czackiego. To też w warunkach takich, że tam była formalnie szkoła, ale tam były zajęcia z zakresu gimnazjum. I pierwszą gimnazjalną miałem korepetytorkę. Także studentkę uniwersytetu. i potem przed komisją zdawałem w tym gimnazjum swoją pierwszą klasę gimnazjalną. Nawet gdzieś znalazłem wykaz ocen, jakie mi dano. A z tamtych w Jarosławiu to już żadnych dokumentów nie miałem, tylko potem kuratorium rzeszowskie to przejęło i stąd mogłem zdawać matę maturę i do liceum zostałem przyjęty do klasy pierwszej, potem drugiej i potem studia prawnicze, i studia z zakresu szkoły nauk politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Potem siedem lat szarpania się, bo nie mogłem się dostać do żadnej pracy, bo ojciec siedział, matka siedziała. I proszę pana, udało mi się do AZS-u wskoczyć. Byłem zawodnikiem AZS-u i przez siedem lat pracowałem w AZS-ie jako kierownik sekretariatu. A w 1959 roku moja mama zażądała, ażeby mnie przyjęto na aplikację sądową, bo ja mam uprawnienia, a nie mogłem z nich korzystać, bo mnie nie chciano przyjąć na aplikację. I wtedy w 1957 do 1959 roku przeszedłem dwuletnią aplikację sądową, zresztą świetnie zakończoną. Potem miałem pierepałki znowuż z nominacją sędziowską. Ale w końcu, mimo że miałem pierwszą lokatę na kursie aplikanckim, to nie mogłem się dostać na stanowisko asesora sądowego, ale wreszcie poszły ogary w las i wreszcie się dostałem. I potem byłem w Krakowie sędzią rejonowym dla miasta Krakowa, sędzią wojewódzkim, potem mnie delegowano do Sądu Najwyższego. Już potem nie puszczono do Krakowa, tylko w Ministerstwie Sprawiedliwości, ale stamtąd po utworzeniu Solidarności, a byłem wiceprzewodniczącym komisji zakładowej, to ja musiałem wyjść z Ministerstwa. Byłem w sądzie warszawskim wojewódzkim. Wreszcie się zbuntowałem i powiedziałem swoim szefom Solidarności, że już dalej nie wytrzymuję. I poszedłem radcować. Pięć lat radcowałem, a po 1990 roku zostałem sędzią Sądu Najwyższego. Ponieważ miałem za sobą także jako sędzia delegowany do Sądu Najwyższego bez możliwości tego tytułu. Brakowało przynależności do partii. Tak że z niejednego pieca trzeba było chleb jeść, ale wszystko dla ludzi. A jak skończyło się 70 lat, to poszedłem do służby w innym kierunku, rzecznik interesu publicznego, a jak skończyłem sześć lat tej służby, to prezydent, świętej pamięci Lech Kaczyński, powołał mnie do Komisji Weryfikacyjnej Wojskowych Służb Informacyjnych. Ale potem musiałem wiele, wiele razy bywać na przesłuchaniach, tak to było. Ale wszystko dla ludzi. Nie takie przechodzili ludzie sytuacje. Co jeszcze, panie prokuratorze?

**Tomasz Sudół:** Jeśli chodzi o tę akcję na Szówsko, na ten obóz Polaków.

**Bogusław Nizieński:** Tak, tak.

**Tomasz Sudół:** To ona była zorganizowana w ten sposób, że była w obozie jakaś wtyczka wśród tych junaków, czy...

**Bogusław Nizieński:** Proszę pana, z tego, co ja wiem, o czym mi mówił ówczesny porucznik Koba, to tam pracował podoficer 3. PPLeg-u i pracował w kuchni tej obozowej, i porucznik Koba się przeraził, że on go poznał, więc nie podejrzewam, że tym, który tam był wtyczką, był ten podoficer. Natomiast przygotowywał do każdego detalu Koba i dlatego on tam często przychodził, żeby rozpoznać teren i najlepsze drogi dojścia. Czy tam ktoś

był? Nie wiem. To już, wie pan, musiało być głęboko zakonspirowane. Nie jest wykluczone, bo przecież ci junacy, nazywani przez Niemców „haudingerami”, to była polska młodzież, która nie pojechała na roboty do Niemiec i ich władowali na tych „haudingerów”. Nie wykluczam, że mogło coś być, ale ja o tym nie wiem. W każdym razie wiem, że przygotowanie było perfekcyjne, że Niemcy zostali kompletnie zaskoczeni w momencie, kiedy słuchali przemówienia Hitlera przez radio. To radia zresztą wszystkie trzy zostały stamtąd zabrane jako zdobycz. I oni zostali absolutnie zaskoczeni. Ręce do góry. Bo ja nie byłem przy tym, bo musiałem być przy tym strażniku mostowym. Oni podnieśli ręce do góry. Potem ich położono na podłogę. Znaczący, [niezrozumiałe, 00:38:02]. Oni wykonali to wszystko, bo wiedzieli, że nie mają szansy. I oni byli obecni w czasie, kiedy zostały zabrane karabiny. Ja to wszystko też opisałem na podstawie zachowanego meldunku. Proszę sobie wyobrazić, że na strychu domu rodzinnego Kobów została znaleziona przed pięciu, sześciu laty część archiwum i część meldunków z akcji, jakie wykonywał kapitan Koba. I on wtedy wymienił wszystkie, całą zdobycz. Karabiny, jakie, typ, ile amunicji, ile granatów, jakie radia. Wszystko to zostało w meldunku do komendanta obwodu wypisane. Wiem, że to się odbyło w taki sposób, że nawet ten strażnik, którego ja trzymałem, słyszał do mnie skierowane głośne wołania po rosyjsku. Chodziło o to, żeby on nie przekazał wiadomości, że to są Polacy. Tylko rosyjski i niemiecki, żeby zupełnie zmylić Niemców co do tego, co to za grupa była, bo oni nie mogli wiedzieć. I to się odbyło w taki sposób, że marsz, który trwał co najmniej sześć godzin, bo myśmy szli śniegiem po polach, żeby nie iść przez wieś, żeby nas nie widziano, żeby nikt z tych mieszkańców wsi nie przekazał informacji, że jakaś grupa uzbrojona, bo przecież nieśliśmy broń na sobie. Ja sam miałem nałożone dwa karabiny, bo jak już potem odeszła od nas drużyna przeworska, to trzeba było tę od nich broń przejąć i wszyscyśmy nieśli obciążeni jak wielbłądy. Doszliśmy w taki sposób do schronu w Lesie Kidałowickim. Wiem tylko tyle, że porucznik Koba bardzo serdecznie żegnał się przed odejściem na akcję i że żona wiedziała, że będzie akcja, która się różnie może skończyć. Bo to nie było nigdzie zapisane, że tak to pójdzie gładko, że Niemcy będą wszyscy zebrani w jednym miejscu i słuchali przemówienia Fuhrera, a tu nagle wtargnie do obiektu grupa uzbrojonych ludzi, bo to już do walki by musiało dojść. Ale to się udało i wiem, że on wielokrotnie tam chodził. I nawet do mnie mówił, bo wymienił mi nazwisko tego, mówi: „może go nawet znasz”. Ponieważ ja codziennie byłem w koszarach 3. PPLeg-u i niemal znałem wszystkich. I on powiedział, że on mnie na pewno rozpoznał. Ale on nie cofnął rozkazu wypadu, tym bardziej, że ten wypad był uzgodniony jeszcze z Komendą AK Obwodu Przeworsk. Bo przecież oni musieli oddelegować część plutonu dywersyjnego z Przeworska i oni z nami byli. Ja notabene spotkałem się w Kuryłówce na uroczystościach z człowiekiem, który był też w tej akcji z Przeworska. I jeszcze mówił, jak przeskakiwaliśmy przez szosę Jarosław - Przeworsk. Ja mówię, ja to doskonale wszystko znam. Nie wiem, czy była wtyka. Nie można wykluczyć, bo przecież wśród tej masy ludzi można było zaryzykować już kogoś pewnego, kto był zaprzysiężony i który może ułatwił wejście na ten teren.

**Tomasz Sudół:** Czyli celem akcji było zdobycie broni, prawda?

**Bogusław Nizieński:** Tak, to był podstawowy cel: broń, amunicja. Tam była nieznaczna ilość żywności, bo wiem, że jeden z bardzo biednych uczestników tej akcji dostał pewną część tej żywności. Tam były jeszcze, proszę pana, środki opatrunkowe. To wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie, to wszystko zostało wyniesione. I przede wszystkim oni najpierw tego strażnika złapali, bo on się schował, przeleciał przez ten prowizoryczny most na Sanie i w tym obozie były sągi z drzewem. Jak mi mówili, to go złapali ukrytego w jednym z sągów i go przeprowadzili mostem

na drugą stronę, i na mnie padł los, bo powiedział mi porucznik Koba: „tu masz pistolet i ani kroku on się ruszyć nie może, bo my musimy tam spokojnie to wszystko przeprowadzić”. A on by mógł nas ujawnić i Niemcy by nas przywitani, powiada, ogniem.

**Tomasz Sudół:** A co się stało z junakami po tej akcji? Oni rozpuszczeni zostali do domów?

**Bogusław Nizieński:** Oni w większości, z tego, co ja wiem, mieli przepustkę, bo to były święta. To było zakończenie roku. A co dalej, czy oni w ogóle byli objęci akcją, bo oni nie byli potrzebni do niczego. Byli potrzebni tylko Niemcy, bo oni mieli nadzór nad bronią w tym budynku, że tak powiem, obozowym, to była broń, była amunicja, były radia i to, co miało wartość dla dywersyjnego oddziału. To wszystko zostało zabrane i przeniesione do tego schronu w Pawłosiowie. Ja na ten temat napisałem właśnie takie uzupełnienie mojego artykułu na temat Szówska opartego już na konkretach, bo wszystko, co zostało zabrane, zostało przez kapitana Kobę spisane i to wszystko ujrzało światło dzienne w tym, to się nazywał nie rocznik...

**Tomasz Sudół:** Biuletyn?

**Bogusław Nizieński:** Magazyn? Nie magazyn...

**Tomasz Sudół:** Biuletyn?

**Bogusław Nizieński:** Biuletyn AK Jarosław. I jest tam, to ja pisałem ten ostatni, właśnie z tego materiału, z tego raportu z przeprowadzonej akcji i doniesienia o zdobyciu broni i amunicji.

**Tomasz Sudół:** Jakby mógł pan jeszcze powiedzieć, gdzie ten obóz się znajdował dokładnie?

**Bogusław Nizieński:** Proszę pana, tego już nie odtworzę, bo to był prowizoryczny most przez San na stronę tę wschodnią czy północną. Tego już nie ma. Gdyby byli ludzie, którzy byli w tym obozie, to może by pamiętali, ale boję się, że to już jest zupełnie inny teren. Ja, proszę pana, byłem na miejscu obozu partyzanckiego, w którym byłem. I to już nie ten sam las. To już inny las. Przecież to wtedy minęło około 60 lat. Tam powyrastały drzewa i tam ten plac apelowy, gdzieśmy byli rozgrzeszani przed wejściem do boju. Kapelan oddziału, kapitan Góral, ksiądz Góral, to on udzielił generalnego odpuszczenia grzechów na placu w lesie, na polanie leśnej dużej. Śladu nie ma, bo to wszystko porosło. Ja bym nigdy już nie pokazał tego miejsca. Przecież ja tam raz tylko byłem.

**Tomasz Sudół:** A miał pan kontakt z Piotrem Woźniakiem może?

**Bogusław Nizieński:** Tak, proszę pana. Piotr Woźniak jest związany ze sprawą mojego ojca. Piotr Woźniak był przesłuchiwany w sprawie mojego ojca w drodze pomocy prawnej. On był przesłuchiwany w Rzeszowie... W Rzeszowie, tak. On... dowodził stanowczo, że ojciec mój do końca 1945 roku był Szefem Sztabu Narodowej Organizacji Wojskowej na Okręg Rzeszów. Ojciec mój walczył o to, żeby wyjść poza sierpień 1945 roku, bo wtedy



by mógł się załapać na dwie amnestie i musieliby go zwolnić. Woźniak, bo ja miałem jego zeznania i jego zeznania są powołane w wyroku wydanym przez wojskowy sąd... nie rejonowy, tylko okręgowy w Krakowie. I stąd ja znałem Woźniaka. Woźniak miał pseudonim... Może sobie przypomnę. Bo on przychodził do ojca i ja z nim się witałem, ja wiedziałem, że to jest Woźniak. Znałem jego pseudonim. Ale ja z nim się już po wpadce mojego ojca nigdy nie spotkałem. Ja tylko jego czytałem wspomnienia, bardzo bolesne wspomnienia. I tam jest takie zdanie, że on jest szczęśliwy, że nikogo nie wydał. A prawda jest inna, bo w czasie przesłuchiwania przez prokuratora prokuratury okręgowej, prokuratury rejonowej w Rzeszowie to on... Być może mieli już tak mocno rozkonspirowanego mojego ojca, że on widział, że tu walka się na nic nie przyda. Bo Sałabun był tym pierwszym, który powiedział wszystko, bo chcąc skorzystać z amnestii, musiał wszystkich swoich współpracowników ujawnić, bo gdyby zataił choćby jednego, to już by nie mógł korzystać z amnestii, a on bił się o swoje przyszłe życie, o swoją karierę zawodową. I być może on już tak zdekonspirował w swoich zeznaniach mojego ojca, że Woźniak uznał, że to już trzeba skapitulować. Ale męczy mnie, że ja jego... Brzoza. Jest, no.

**Tomasz Sudół:** Bo pana ojciec był takim pełniącym obowiązki komendanta okręgu, prawda?

**Bogusław Nizieński:** Był tam przez pewien czas, bo nie było już nikogo, ale faktycznie był zwerbowany na stanowisko Szefa Sztabu Narodowej Organizacji Wojskowej na Okręg Rzeszów, pod pseudonimem „Waluś”.

**Tomasz Sudół:** A można powiedzieć, że on prowadził wtedy jakąś działalność? Czy to była taka bardziej...

**Bogusław Nizieński:** Nie, bo wiem, że był w lesie. Był w lesie tam, gdzie pod Kuryłówką, gdzie był Wołyniak, bo nawet pokazali, jak Wołyniak chodził z medalami ludowymi przyczepionymi na spodniach od tyłu. Więc skąd wiedział? Musiał być. To, co mógł robić tam, to robił, ale najgorsze było to, że jednocześnie, kiedy był na tym stanowisku, został powołany do służby wojskowej i trafił na dwa miesiące do Radomia, a potem jakoś udało mu się do Jarosławia do 40. Pułku Artylerii Lekkiej, bo przecież był związany organizacją. Woźniak twierdził, że do końca 1945 roku, a ojciec się bronił, że nie.

**Tomasz Sudół:** A pana ojciec jak był w wojsku, to prowadził jakąś agitację wśród żołnierzy na przykład?

**Bogusław Nizieński:** Nie, tam nie można było tego. Tam był naszpikowany informacją i tajnymi informatorami. Tam nie było szansy. Znaczący, tam byli podoficerowie, którzy potem siedzieli w piwnicach Krakowskiej Informacji numer V. Ale to nie byli ludzie, którzy by się chętnie tym, czy odśtonili przed żołnierzami, bo tam było multum ludzi otumanionych, którzy byli informatorami oficerów operacyjnych informacji Ludowego Wojska Polskiego, a to była straszna kaźnia.

**Tomasz Sudół:** Czyli w momencie, kiedy pana ojciec wtedy znalazł się w wojsku, to on stracił kontakt z konspiracją?

**Bogusław Nizieński:** Nie, bo to był Jarosław ciągle.

**Tomasz Sudół:** To był ciągle Jarosław, no właśnie.

**Bogusław Nizieński:** Tu Jarosław, a potem był Rzeszów. Potem ojciec został przeniesiony z tego 40. PAL-u z Jarosławia do sztabu 9. Dywizji Drezdeńskiej w Rzeszowie. I tam miał kontakty nadal, ale to się sypnęło wszystko, to się rozwaliło. I ojciec, który raz się obronił w 1946 roku, idąc w zaparte i oni go nie mogli przechwycić na tym, że był tym, który miał pseudonim „Waluś”. To wtedy w drugim aresztowaniu to już nie dało rady. To już nie dało rady i to było straszne śledztwo. Przecież dwukrotnie mój ojciec przebywał w bunkrze wodnym. Dwa razy po sześć dni, bo można było na sześć dni wsadzić do bunkra wodnego i on siedział dwa razy po sześć dni. I bydle było straszne, które było jego oficerem śledczym. Nie żyje. Ja napisałem doniesienie tu do naszego warszawskiego oddziału, ale dostałem odpowiedź, że ten podpułkownik Dorożyński Wincenty nie żyje. Ja nie wiedziałem, bo miałem jeszcze informacje sprzed jego śmierci, a Centralny Rejestr Skazanych był opóźniony. I o sześć miesięcy. Ja sądziłem, że on jest dalej w Poznaniu, a okazało się, że on już wtedy, kiedy ja złożyłem tu na Placu Krasińskich doniesienie, to on już nie żył. To był straszny zbir, bo było kilka doniesień o jego znęcanie się i katowanie więźniów, podoficerów i oficerów wojska. I między nimi popadł mój ojciec, ponieważ ten Dorożyński Wincenty był kierownikiem sekcji czwartej w Zarządzie Informacji LWP numer V w Krakowie. Potem przeniesiono go jako kapitana do Poznania i tam się dał we znaki. Ja mam dokument umarzający ze względu na śmierć jego, ale ja wtedy nie wiedziałem, bo kiedy pisałem doniesienie miałem jeszcze dokument z Centralnego Biura Ewidencji Ludności, że on żyje i gdzie mieszka, ale on już w tym czasie nie żył.

**Tomasz Sudół:** A co się działo w momencie aresztowania z pana matką?

**Bogusław Nizieński:** Mama była aresztowana w sanatorium w Zakopanem 6 grudnia 1948 roku. Została przewieziona z Zakopanego do Informacji Ludowego Wojska Polskiego. I w następnym dniu zdarzyło się to, że ja zobaczyłem matkę przewożoną z Informacji do Rzeszowa. I była w Rzeszowie przekazana do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na Jagiellońską. Tam była, proszę pana, sześć tygodni. W stanie strasznym przywiózł ją jakiś kolejarz pociągami i powiedział, że dali mu polecenie, żeby mi odstawił moją matkę do mieszkania. Ja natychmiast musiałem lekarza wezwać, bo była w strasznym stanie. Dopiero potem zaczęła powoli wracać. A drugi raz to wpadła na dziewięć miesięcy w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie z tytułu sprawy rotmistrza Andrzeja Czajkowskiego, pseudonim „Garda”. I też chcieli koniecznie uzyskać przyznanie, że wiedziała, kto u jej bratowej jest przechowywany. Matka się wypierała i nic. Musieli umorzyć, bo nie było dowodów. Ale to, że posiedziała, wtedy ja byłem sam. Byłem na studiach na trzecim roku. A potem ojciec wrócił, ale po kilku dniach do szpitala w Krakowie i tam zmarł. Nie dało się rady już uratować. A leżał w szpitalu więziennym we Wronkach z tą prognozą, że „wy, Nizieński, wyjdziecie przez czwarty pawilon”, to znaczy przez trupiarnię. Ale nie udało się, bo wyszedł jeszcze, mając kontakt z nami w szpitalu. Ale to bardzo krótko trwało.